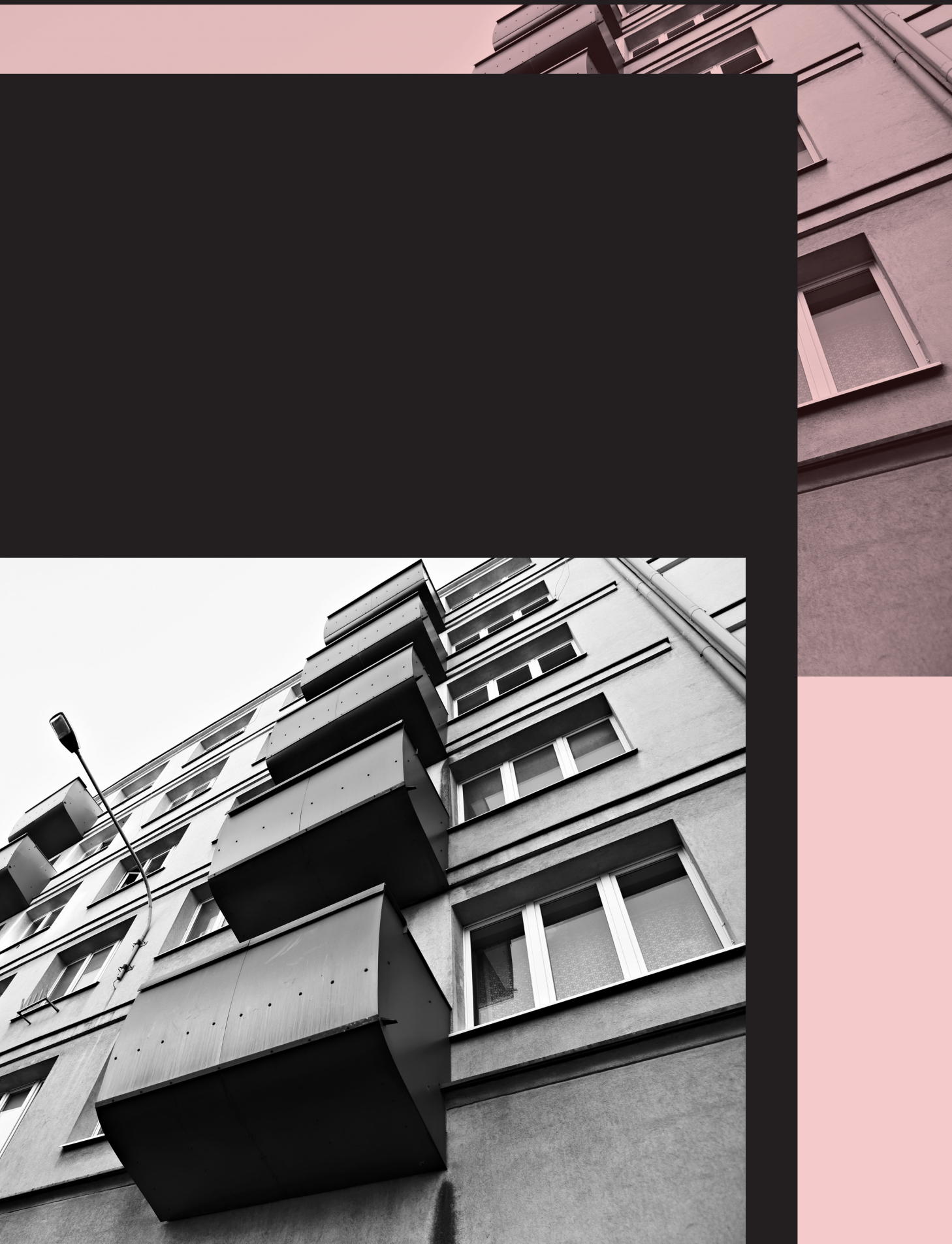


Historie od kuchni

**Reportaże o ulicy
Święty Marcin**



Reportażerów Zamek

HISTORIE KUCHNI

Reportaże o ulicy

Św. Marcin

4-7

Święty Marcin
budził się
na mleko

18-23

Kinoterapia

8-13

Historia
od kuchni

24-26

Stolik
przy oknie

14-17

Zapomniana
pracownia

27-29

lkar
z trzeciego
piętra

30-32

Wróżka

ISBN 978-83-940525-5-3

Copyright © 2015 Centrum Kultury ZAMEK

2

3

ZAMEK REPORTERÓW to roczny cykl spotkań z czołówką polskich reporterów (Hanna Krall, Lidia Ostałowska, Wojciech Jagielski, Włodzimierz Nowak, Marcin Kącki) oraz z wybitnymi autorami z zagranicy (Swietłana Aleksijewicz, Martin Pollack), który odbywał się w Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu w 2015 roku. Ważnym elementem cyklu były warsztaty reporterskie poświęcone Poznaniowi (a dokładniej — ul. Święty Marcin), które prowadził Marcin Kącki. Efektem warsztatów są teksty składające się na niniejsze wydawnictwo.

ZAMEK REPORTERÓW

Joanna Przygońska — kuratorka
i koordynatorka wydarzenia

HISTORIE OD KUCHNI.

REPORTAŻE O ULICY ŚWIĘTY MARCIN

Marcin Kącki — redakcja
Karol Francuzik — korekta
Maciej Kaczyński — zdjęcia
Marcin Markowski — projekt graficzny

Autorami tekstów
są uczestnicy
warsztatów,
które odbyły się
w ramach
wydarzenia
ZAMEK
REPORTERÓW.

Marcin Kącki

PULS REPORTERA

W połowie lat 80. przyjeżdżałem do Poznania z małego miasta. Chodziłem za rękę z ciotką ulicą Św. Marcin i wykręcałem głowę na kosmiczne neony, rozświetlone wieżowce, ponury zamek, groźnie szumiące czerwone tramwaje, tłumy ludzi.

Wróciłem w połowie lat 90. — na studia. Scenografia ta sama, choć życia mniej. Św. Marcin to już tylko skrzyżowanie na szlaku między Starym Rynkiem a ulicą Taczaka — zagłębienie przyjaźni i studenckiej beztroski.

Osiadłem. Neony na Św. Marcinie przybladły lub zniknęły, zamek rozjaśniał, wieżowce posmutniały, tramwaje ucichły, ludzie zniknęli.

Ale to tylko scenografia. Gdy zajrzeć za fasadę, wejść w podwórka, na strychy, do piwnic, można znaleźć fascynujące historie, jakimi Św. Marcin obdarował naszych reporterów.

Jest lot Ikara nad podwórkiem, w cieniu demonicznego lata 1939 roku; pracownia malarska wypełniona po sufit emocjami, po której został biznesowy smutek zysków i strat; są dwaj przyjaciele, którzy od lat przysiadają przy stoliku, by przyklejać nosy do kawiarnianej szyby; są aromatyczne i przepyszne ludzkie czaszki (!), w których rozsmakował się akademicki świat; jest kino — przyjaciel wrażliwych samotników; kochankowie ulicy, którzy karmią się jej wspomnieniem.

Św. Marcin to nie tylko infantylnie przebrany jeździec na koniu, który co roku paraduje w kolorowym orszaku. To życie — brutalne, smutne, wzruszające, które pulsuje w podwórkach i ostatnich barach.

Reporterzy zbadali ten puls. Jeszcze jest wyczuwalny.



Byłe atelier fotografa Władysława Czarneckiego. Oficyna kamienicy ul. Św. Marcin 75



4

5

~~Jan~~ uciekł
z ulicy,
bo za głośno.
Maria się
w niej
zakochała

Izabela Kalkowska

ŚWIĘTY MARCIN BUDZIŁ SIĘ NA MLEKO

Trzypiętrowa, beżowo-popielata kamienica przy ul. Święty Marcin 75 jest niższa od sąsiednich. Na elewacji widać plamy i obdrapania. Okna poszarzałe, złuszczone, zakończone są łukami. Na parterze gabloty, na jednej oferta, pożyczka z bardzo niską ratą, na drugiej żółta tablica Zarządu Komunalnych Zasobów Lokalowych — „Do wynajęcia”. Po prawej bank, po lewej pusty lokal, pozostałość po znanym barze mlecznym Pod Kuchnikiem. Wchodzę w słabo oświetloną bramę. W korytarzu drewniane schody są wytarte, krzywe, skrzypiące. Bariarka bezużyteczna, chybota i brudna, choć precyzyjnie wykończona i zdobiona. Czuć odór moczu, widać rury instalacyjne, odrapane tynki.

Im wyżej, tym jaśniej, bo zadaszenie klatki schodowej to świetlik. Na ścianach bazgroły. Ostatnia kondygnacja ma kolor brudnego różu, ściany ozdobione białymi gzymsami i rzeźbionymi filarami.

Schodzę na dół. Na podwórku widzę swastykę, pod nią napis „satan i hitler”. Pod schodami pojawia się piłka, biegnie za nią około dziesięcioletni letni chłopak.

— Mieszkasz tu? — pytam.

— Nie. Tylko gram.

Idę za nim. W podwórzu stoją trzej młodzi mężczyźni, piją piwo. Nie wiedzą, czy ktoś tu jeszcze mieszka.

Chyba nie, mówią, bo wszędzie są czerwone nalepki z logo firm ochroniarskich. Ale na trzecim piętrze, w mieszkaniu z firankami, mieszka bardzo wiekowy mężczyzna.

— Ma z sześćdziesiąt lat, ale ciągle napruty, nie wiem, czy pani pomoże — mówi mi jeden z mężczyzn.

W mieszkaniu z firanami nikt otwiera.

Rozmawiam ze znajomymi. Dowiaduję się, że w kamienicy 75 mieszkał Jan, który jest kustoszem muzeum Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego.

— Mieszkałem tam ponad 40 lat — mówi, gdy dzwonię. Spotykamy się przy ulicy Głogowskiej w Poznaniu, w muzeum, które mieści się w zajezdni tramwajowej. Średniego wzrostu, lekko zgarbiony, o bujnej siwej czuprynie, nosi okulary. Ubrany w spodnie na kant i gruby luźny sweter. Jan pamięta fotografa Władysława Czarneckiego, który w oficynie kamienicy miał atelier, a nad nim mieszkanie. Po pracowni pozostał ślad — cztery duże zaokrąglone okna i dwuskrzydłowe przeszklone drzwi. Mieszkanie stoi puste, na oknach są czerwone nalepki z logo firmy ochroniarskiej. W czasie powstania wielkopolskiego w kamienicy

była siedziba Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej, władzy polskiej ludności zaboru pruskiego. Pozostała po niej żeliwna tablica tuż przy bramie, od ulicy. Czyżby stąd monumentalne filary na ostatniej kondygnacji?

Jan, gdy wchodził do kamienicy, miał do pokonania 96 schodów, liczył, gdy był dzieckiem. Jego matka na początku lat 60. dostała to mieszkanie jako służbowe. Pracowała w administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Na początku mieszkali w jednym pokoju. Łazienkę, kuchnię i strych dzielili z sąsiadami. Dopiero w połowie lat 60., gdy z kamienicy wyprowadzili się sąsiedzi, rodzina Jana dostała do użytku drugą część podzielonej wcześniej kuchni. Jan lubił chodzić na strych, by przez małe okienko oglądać parady pierwszomajowe. Najbardziej podobały mu się samochody i autobusy, pamięta też wielką sieć, rozciągniętą w poprzek ulicy, prezentującą pewnie jakieś gospodarstwo rybackie. Widział tramwaje i tłumy ludzi. Kilka razy uczestniczył w pochodach, jako uczeń, z obowiązku. Czas wolny spędzał z kolegą na sąsiednim podwórku. Najczęściej bawili się w chowanego, raz zbudowali zamek ze sterty starych kafli, które ktoś wyrzucił po demontażu pieca. Pewnego razu Jan wszedł na dach, bo przeciekał i zauważył w zewnętrznych ścianach budynku dziury po pociskach. W latach 70., gdy remontowano im podłogę i odkryto belki stropowe, zobaczył, że są osmalone.

Jan niemiło wspomina bar mleczny, bo śmierdziało i mieszkańcy prowadzili bój o wentylację. Tramwaje dudniły, od czego drżał cały budynek, a jak w pobliżu pękła szyna, hałas był nie do wytrzymania.

Mieszkanie w śródmieściu miało jednak swoje plusy — wszędzie blisko, łatwy i szybki dostęp do kina, teatru, sklepy pod ręką, czasem można było obejrzeć mecz w telewizji, na żywo, z telewizora za witryną sklepową. Obsługa sklepu wystawiała głośniki na chodnik. Po świeżej bułki szedł niedaleko, pod numer 49, do najświeższego sklepu nabiałowego w całym Poznaniu.

Kamienica nr 49 ma oryginalną fasadę — balkony przypominają pomarańczowe kosze na śmieci. Spotykam w niej Marię, mieszka tu od lat 60., gdy była nastolatką. Dawniej, mówi mi, pobudka kamienicy następowała o 4.30, gdy na podwórko wjeżdżał samochód ciężarowy. Wyskakiwali z niego dwaj mężczyźni i przerzucali metalowe kosze z pustymi, szklanymi butelkami po mleku.

Przed godziną szóstą pojawiał się kolejny samochód, przywoził kosze z butelkami pełnymi mleka. Maria, gdy zabrakło jej mleka dla dziecka, biegła na dół i brała sobie butelkę, a płaciła po otwarciu sklepu. Schodziła w koszuli nocnej, zimą w narzuconym na nią płaszczu i kozakach wciągniętych na gołe stopy.

Dziś sklepu nie ma, a podwórko zastawione jest rusztowaniami. Przypomina wąską uliczkę, w poprzek wiszą sznurki z praniem. Przez otwarte okna mieszkań słychać sztucze uderzające o talerze, w powietrzu unosi się zapach pieczeni, mięsa i owoców.

Zza okien mieszkania Maria w latach 60. widziała, jak w trakcie wyburzania starych kamienic wyłaniały się pokoje, fragmenty kolorowych ścian ze śladami po obrazach i meblach, rozdzielane tapety, oberwane drzwi, wiszące na kawałku futryny.

Z siostrą umawiały się na randki nieopodał, pod Orientem (sklep z biżuterią, lusterkami, puzderkami sprowadzanymi ze wschodu), na raz z kilkoma chłopakami poznanymi wcześniej w klubie Od Nowa. Przez okno mieszkania podglądały, czy przyszli na czas.

Nocami w salonie mieszkania rodziców Marii można było czytać gazetę przy światłach ulicy. Okno salonu znajdowało się między siodełkiem a kierownicą ogromnego bicykla — neonu reklamującego sklep rowerowy. Przez całą noc koło neonu kręciło się, gdy zapalały się i gasły szprychy, dominowała czerwień.

„Niech żyje 1 Maja!”, „Klasa robotnicza klasą rządzącą” — chorągwie, sztandary i kwiaty to wspomnienia związane z paradnymi pochodami, które szły ulicą Św. Marcin.

Maria, podobnie jak Jan, odbębniata w nich swój udział, bo sprawdzana była szkolna lista obecności. Ale zawsze było wesoło i kolorowo. Sprzedawano parówki z bułką i musztardą na tekturowych tackach. Po południu chodzili na „prywatki u Szydłoka”, imprezę na estradzie przed Centrum Kultury Zamek.

Ulica w trakcie takich wydarzeń pękała w szwach.

— Mnie to niespecjalnie odpowiadało — kręci nosem Jan. Bo musiał przedzierać się przez tłum, by dostać do mieszkania. Legitymowała go wtedy Milicja Obywatelska.

Marii podobało się, gdy ulica tętniła. Pamięta wizyty papieża — oczekiwanie, uroczysta atmosfera, spokój i wzajemna życzliwość, młodzież stojąca na lampach i rzeka ludzi płynąca ze wszystkich ulic w stronę Świętego Marcina.

Siedzimy z Marią w barze Kociak przy małym, okrągłym stoliku pod oknem, pijemy koktajl truskawkowy.

— Kiedyś to było kultowe miejsce, przychodziłam tu jako podłotek — mówi. — Teraz koktajli się nie wstrząsa przed podaniem, a dzięki temu były bardziej puszyste. Jest jakoś mało ludzi, dość drogo...

Przerywa, bo dudni, gdy za oknem przejeżdża zielono-żółty tramwaj.

Rozmawiamy o fotoplastikonie, do którego Maria chodziła na wagary. Była tam drewniana podłoga, panował półmrok, pachniało pastą. Do kawiarenki Kolorowej biegła po ciastka i lody cassate albo palermo, a co tydzień robiła manicure w największym w Polsce salonie kosmetycznym, w jednym z wieżowców Alfy.

Obcokrajowca, mówi, poznawało się wśród tłumów ulicy po zapachu ekskluzywnych perfum, w Orbisie na rogu ulic Ratajczaka i Św. Marcin kupowało się bilety do kina, ulica była kolorowa od neonów.

— Święty Marcin to zdecydowanie moja ulica — mówi Maria. Kocha ją i cierpi, gdy widzi jej degradację. Cieszy ją każda, najmniejsza nawet akcja związana z ożywianiem ulicy.

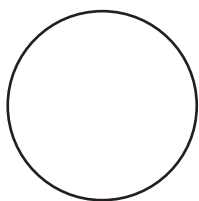


6

7

Zakaz

zakaz gry w piłkę



Na stołówce przy Świętym Marcinie
zjedli czaszkę. Zęby miała migdałowe



8

9

CZYNNE:PN-PT
12⁰⁰ - 18⁰⁰

Anna Solak

HISTORIA OD KUCHNI

Maria Królska pochodzi z Buku, technikum gastronomiczne kończyła w Poznaniu. Miała dwadzieścia lat, gdy została szefową kuchni. Dwa lata później kierowała już stołówką w Mostostalu, następnie w Akademii Ekonomicznej i Collegium Historicum przy ul. Św. Marcin, gdzie pracuje do dziś. W 1972 roku zdobyła pierwsze miejsce w konkursie stołówek pracowniczych „Społem”, siedem lat później — drugie w całym okręgu.

Jest rok 1979. W budynku przy Świętym Marcinie mieści się Komitet Centralny PZPR. Wydział Historii, wraz ze stołówką, pojawi się tu dopiero za jedenaście lat. Mija dwadzieścia, a u Marii nadal jadają rektorzy, profesorowie, studenci i zwykli mieszkańcy, którzy kiedyś wpadli tu na szybki obiad i już zostali.

— Margaret Thatcher, Javier Solana, Tadeusz Mazowiecki, Lech Wałęsa, Aleksander Kwaśniewski, Włodzimierz Cimoszewicz, Bronisław Geremek, Romuald Szeremietiew, Arnold Brossi, Jerzy Trela, Maja Komorowska, Jerzy Zelnik, Ania Seniuk, Andrzej Łapicki, Irena Jun, Jan Peszek — jednym tchem wylicza Królska. — Wielu ich było, trudno spać — niedbale macha ręką i lekko się rumieni. Znane nazwiska bywają tu przy okazji międzynarodowych konferencji, jubileuszy, doktoratów honoris causa. Maria dba o wszystkich osobiście.

Przez ponad dwadzieścia lat na obiad przychodziła tu Krystyna Feldman, znana poznańska aktorka. Swój jubileusz obchodził dyrygent Stefan Stuligrosz, a podczas ostatniego festiwalu Verba Sacra gościł wnuk Henryka Sienkiewicza, Juliusz. Jadał tu również profesor Jan Miodek, którego pani Maria pieszczotliwie nazywa Jasiem. Wspomina, że Mazowieckiemu najbardziej smakował żurek podany w wydrążonym chlebie. Teraz podają go tak wszyscy, wtedy był szczytem elegancji. Były premier wpisał potem do książki pamiątkowej: „Dziękuję serdecznie za możliwość zjedzenia obiadu. Życzę wszystkiego najlepszego”.

Włodzimierz Cimoszewicz przybył na obiad z obstawą.

— Pamiętam, że tego dnia nawet kelner musiał upić wino z tacy, nim spróbował go Cimoszewicz — wspomina Maria. Margaret Thatcher w 1996 roku jadła w Sali Kominkowej CK Zamek jej chłódnik po wielkopolsku. Pozostała po niej pamiątka, ogromny obraz wiszący naprzeciw wejścia do stołówki historyków — Thatcher rozmawia na nim z Marią. W dłoni ma nie filiżankę (jak sądzą niektórzy), a bulionówkę z chłódnikiem. Scena została namalowana na wzór

fotografii, którą ofiarował jej Seifu, zięć. Prof. Wojciech Krzyżaniak, wykładowca UAM, opowiada o Thatcher na zajęciach z historii XX wieku. Studenci biegną potem na dół, by się przekonać, czy to prawda.

Maria to nowoczesna bizneswoman z kalendarzem spotkań w jednej, a telefonem komórkowym w drugiej dłoni. W dyskretny sposób elegancka, z dobrze ułożoną fryzurą, delikatnym makijażem i nienachlaną biżuterią. Zabiegana, ciągle potrzebna w kuchni, na sali, w interesach. Poza prowadzeniem bufetu działała w Stowarzyszeniu Kucharzy i Cukierników Polskich. Lubi dzielić się recepturami. Kiedy była na gastronomicznych mistrzostwach Europy, zauważyła, że Niemcy swoich strzegą. Nawet wino zawiązywała w papier, żeby nie podpatrzeć.

— No witam pani Krysieńko — odbiera telefon. Przepraszam. — Taka jestem poumawiana, ale szykuje się duży jubileusz jednego z profesorów, wciąż trzeba coś obmyślać, zamawiać, wprowadzać do jadłospisu. Musi być idealnie. — U mnie wszystko kręci się wokół kuchni. Gdziekolwiek jestem, w restauracji na przykład, od razu oczy lecą — przyznaje.

W stołówce wszyscy dobrze się znają, przyjazną aurę wyczuwa się już od progu.

— Jak nie ma ludzi, to zakasuję rękawy i sama wchodzę do kuchni. Raz przyszedł rektor. Był tłok na stołówce, chciał z kierowniczką rozmawiać. Nie znał mnie. Wysłałam z kuchni całą w rumieńcach, prosto od patelni. A on: „Ale chciałem z kierowniczką”. „W tej chwili jestem i kucharką i kierowniczką” — odparłam.

Gastronomia to jej rodzinny biznes. Stołówkę prowadzi z synem i synową. Córka Marzena jest kierowniczką kantyny na Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, zięć Seifu Gebru, Etiopczyk, kieruje kuchnią w poznańskim Domu Studenckim Jowita.

Maria prowadzi albumy, w których umieszcza wyróżnienia i dyplomy. Fotografie rzeźb z owoców i tortów zajmują osobny klaser. Nie piecze ich, ale projektuje. Nieraz zajmuje jej to kilka dni. O niczym innym wtedy nie myśli. „Mamo, z tobą już źle się dzieje” — mówi wtedy jej córka. Powstało już ciasto w kształcie książki, zamku, jerychońskich trąb, a nawet Koloseum. Dla antropologów i etnologów wymyśliła tort imitujący ludzką czaszkę. Marcepanowe ciasto było ładnie podobne do oryginału, starannie zaznaczono nawet szwy. Zęby były z migdałów.

Stolówka Marii
Królskiej
w Collegium
Historicum,
ul. Św. Marcin 78



10

11





— Jak profesor zobaczył tę czachę, to prawie zestabł —
śmieje się Maria.

Na habilitację pewnej biolog wymyśliła roladę mięsną
w kształcie stonogi, bo właśnie taki temat podjęto w pracy
doktorskiej. Gąsienica miała zaznaczone segmenty i kre-
wetki w miejscu odnóży. Migdałowe płatki zastępowały jej
naturalne plamki, kwiaty imitowały włoski na ciele. Liczne
oczy zrobiła z kawioru w żelatynie. Gąsienicę podano na
lustrze w kształcie liścia topoli, bo to jej naturalne środo-
wisko. Dwóch kucharzy robiło ją cały dzień. — Miesiąc
w letargu chodziłam, po nocach nie spałam. Anatomię
tej gąsiony do dzisiaj mam przed oczami. Ale opłaciło się.
Jak przyszli biolodzy, od razu rozpoznali gatunek.
Oprócz albumów ma też dwie opasłe książki, do któ-
rych wpisują się goście. Przeglądam książkę. Aż dwie
strony zajmują wpisy i podziękowania chóru z Tajwanu.
Życzenia w wielu językach: angielskim, niemieckim, fran-
cuskim, chińskim, japońskim. Są serca, kwiaty i uśmiechy.
„Było jak zwykle cudownie!” — wpisał profesor Arnold
Janczewski, znany chemik.

Co roku w stołówce organizowane są Wigilie. Po każdej
do książki wpisów trafia wiersz. Taka tradycja. W poetę
wciela się wówczas prof. Bogdan Walczak, filolog:

*Za nic pub mi, za nic bar mi,
gdy mnie Pani Króleśka karmi
Za nic nam wszystkim lokale wytworne,
gdy u Pani Marii jedzenie wyborne.*

Pasja Marii pomaga jej w codziennym życiu. Gdy miała
stłuczkę samochodową, zaproponowała kierowcy ciastko
i kawę. Sprawę załatwiła polubownie, a kierowcą okazał
się lekarz alergolog. Wnuki Marii mają alergię, więc
wymienili się wizytówkami.

Maria namawia mnie, bym coś zjadła. — Musi pani —
oświadcza kategorycznie.

Wybieram barszcz ukraiński. Smakuje jak domowy. Dosia-
da się do nas profesor Andrzej Brenz z Instytutu Etnologii
i Antropologii. Na stole lądują półmiski z mięsem, ryżem,
szpinakiem i zestawem surówek.

W księdze pamiątkowej wyróżnia się wpis w języku staro-
polskim:

*Niechaj to Akademije wždy postronne znają,
Iż poznański UAM jadalnią najlepszą,
Bo swą Królską mają.*

[2010]

Ostateczna redakcja tekstu powstała w trakcie warszta-
tów w 2015 roku. Wydział Historii od 1 października
tego roku działa już w nowym budynku w kampusie
akademickim Morasko. Przeniósł się prawie w całości —
sale wykładowe, gabinety profesorów, biblioteka...
Przy ul. Św. Marcin została tylko stołówka, do której
wciąż wpadają na obiad ci sami goście.





**Przybudówka nad dachami ulicy Św. Marcin
ukryła tajemnice artystycznego Poznania**



Klatka schodowa
kamienicy przy
ul. Św. Marcin 29

14

15

Ewa Myszkowska, Damian Kruczkowski

ZAPOMNIANA PRACOWNIA

Sklepy, banki, słynna kawiarnia Kociak, kino Muza, coraz więcej opuszczonych lokali. Św. Marcin, sztandarowa ulica Poznania, nie kojarzy się z życiem artystycznym, choć w dawnym zamku cesarskim mieści się główna instytucja kulturalna w mieście.

W kamienicy pod nr 29 znajdujemy przybudówkę ze spiczastym dachem. Ma duże pochylone okna. Nie jest opisana szyldem ani banerem, ale to pracownia artystyczna. Klatka schodowa jest schludna, ściany pomalowano na neutralny beżowo-szary kolor, bez zdobień. Drewniane schody przykryte linoleum skrzypią przy każdym kroku. Na półpiętrze, tuż przed ostatnią kondygnacją, na której mieści się pracownia, stoją kartony i stara kuchenka gazowa. Przez wybitą szybę w drzwiach widać pozostałości ubikacji. Drzwi do pracowni obite są blachą, a okienko obok jest zaciemnione. Kamienicę wybudował w 1883 r. Jan Krysiewicz, o czym informuje żeliwna tablica nad bramą od strony podwórza. Jan miał brata — Ignacego Jakuba. Przyjechali z rodzinnego Czarnkowa. Syn Ignacego Jakuba, Bolesław, był słynnym społecznikiem. Kamienicę odziedziczył syn Jana, Karol Marcin Krysiewicz wraz z żoną. W okresie międzywojennym budynek przeszedł na własność ich córki, Walentyny i jej męża Tadeusza Walkowskiego, lekarza i malarza. To on na dachu kamienicy wybudował pracownię artystyczną. Czytamy o tym w internecie.

W *Kronice Miasta Poznania* sprzed ponad dwudziestu lat o kamienicy pisze też dr Jarosław Mulczyński z Muzeum Historii Miasta Poznania. W czasie licznych podróży artystycznych Walkowskiego po Europie i Afryce pracownię odwiedzało wielu znanych artystów: Leon Prauziński, Hieronim Malina, Marcin Rożek, Władysław Marcinkowski, Zygmunt Szpingier i Zofia Dziurzyńska-Rosińska. Podczas wojny Walkowski zostaje wysiedlony do Generalnej Guberni, gdzie umiera w 1944 r., a pracownię zajmuje niemiecki malarz o nazwisku Bielecki. „Czy to volksdeutsch?” — pyta w kronice dr Mulczyński, ale nie drży tematu. Pisze jednak, że „rzekomy niemiecki malarz” uratował wiele prac Walkowskiego — przekazywał je autowowi do obozu przejściowego przy ul. Długiej w Poznaniu. Po II wojnie pracownię użytkuje Stanisław Szczepański, a do 1954 r. teść Tadeusza Konwickiego — Alfred Lenica. Zdaje się, że potem przez ponad dekadę, jak pisze Mulczyński, pracownia stała pusta, a w 1965 r. przejmuje ją Jerzy Kostka, uznany polski malarz.

Kim był Bielecki, „rzekomy niemiecki malarz”? To najbardziej tajemniczy lokator pracowni. Pozostaje pominięty, ale ma swój epizod w historii pracowni, był kontynuatorem artystycznych tradycji tego miejsca podczas okupacji. Co malował? Gdzie są jego dzieła?

Zaglądamy do książki *Ucieczka przed bombami* o wojennych losach dzieł ze zbiorów dawnego Kaiser Friedrich Museum in Posen, obecnie Muzeum Narodowego. Czytamy, że podczas wojny Arthur Greiser, namiestnik tzw. Kraju Warty, zorganizował wystawę prac niemieckich malarzy. W katalogu wystawy, w bibliotece Muzeum Narodowego, nie znaleźliśmy Bieleckiego, ale Bielensteina. Czy to nasz artysta, ale ze zmienionym nazwiskiem? Siegfried Bielenstein, urodzony w Kurlandii, w dorosłym życiu był malarzem. W roku 1939 na mocy paktu Hitler—Stalin został przesiedlony z całą rodziną do Poznania, w którym przebywał do roku 1945. Potem wyjechał do Niemiec, gdzie zmarł w roku 1946.

Pytamy w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Dr Maria Gołqb, kurator Galerii Sztuki Polskiej, elegancka kobieta w średnim wieku, pokazuje nam katalog prac Walkowskiego, twórcy pracowni przy Św. Marcinie 29. A Bielecki? Przypomina jej się, że Barbara Latzke, wnuczka Walkowskiego, pracowała w muzeum, nadal pracuje tu jej syn. Bo Maria Gołqb o samej pracowni nie wie za wiele, o Bieleckim także. Zapisujemy kontakt do wnuczki, a dr Gołqb odsyła nas jeszcze do Mulczyńskiego, który pisał o pracowni.

Wchodzimy po kamiennych stopniach ratusza, w którym mieści się Muzeum Historii Miasta Poznania. Mulczyński jest w średnim wieku, szczupły, z kręconymi przetykanymi siwizną dłuższymi włosami, ubrany w dżinsy i marynarkę. Zastrzega, że ma kwadrans. Pytamy o pracownię, o Walkowskiego. Mówi to, co już wiemy z jego publikacji i co udało nam się ustalić. A Bielecki vel Bielenstein? O drugim nie wie nic. O Bieleckim niewiele.

— Coś słyszałem, ale nie pamiętam od kogo.

Nie jest nawet pewien, czy ktoś taki istniał.

— No jak to? Przecież pisał pan o nim.

— To było dawno temu, nie pamiętam, co napisałem.

Dr Mulczyński jest zapracowany, nie ma więcej czasu.

Mamy ogromny niedosyt. Bielecki vel Bielenstein nam umyka. Wnuczka Tadeusza Walkowskiego, Barbara Latzke, ma przez telefon ciepły głos:

— Musicie porozmawiać z Jarkiem. On wie wszystko o pracowni, rozmawiał o niej nawet z moją zmarłą mamą — mówi.

— A kto to?

— Dr Mulczyński.

— Niewiele pamięta — mówimy.

Latzke opowiada nam, że jej dziadek Walkowski był lekarzem artystów, a w zasadzie aktorów z opery, teatru. Odwiedzali dziadka, czasami popijali winko, było wesoło, jak to — mówi wnuczka — u artystów. A Bielecki, który zajął pracownię po dziadku?

— Nie znam takiego, nic o nim nie słyszałam.

— Ponoć ocalił i przyniósł do obozu na Główną kilka obrazów pani dziadka.

— A tak, mogło coś takiego być i nawet mówi się o tym w rodzinie. Tak, to był Niemiec, był prawnikiem, podobno z Bawarii, bardzo wykształcony i inteligentny. Był oficerem Wehrmachtu. Kiedy przyszedł do kamienicy wysiedlać mojego dziadka, to usłyszał, że dziadek mówi po niemiecku. Powiedział mu wtedy: „Panie doktorze, gdyby to były inne czasy, tobyśmy sobie usiedli, w brydża zagrali, napili koniaczku. Ale w obecnej sytuacji nic nie mogę zrobić”.

Latzke pamięta, że oficer dał dziadkom jeden dzień i doradził, co mają zabrać: ciepłe ubrania, koce.

Walkowskich wywieziono do guberni.

— Ten oficer — mówi Latzke — zajmował mieszkanie i nic, nawet tyżeczki nie ukradł, wszystko zostawił. Ocalił nawet nasze rodzinne albumy, schował do pawlacza. Częściowo rozszabrowali to dopiero Polacy, przymusowi pracownicy w czasie okupacji.

Meble, sprzęty, obrazy Walkowskiego starała się po wojnie odzyskać jego żona Walentyna. Ale wiele osób nie chciało oddać, twierdzili, że to ponemieckie. Sprzedała swoją część kamienicy pod nr 29 w latach 50. Obecnie jest w zarządzie administracji firmy Muchowiecka Apartments, która jest też jej większościowym udziałowcem.

Jak wygląda dzisiaj dawna pracownia? Idziemy do zarządcy. Biuro administracji mieści się niedaleko, między ulicą Św. Marcin a ul. 27 Grudnia. Drzwi do gabinetu prezes Pauliny Wylegały co jakiś czas uchylają się i widzimy młodą, zadbaną kobietę o blond włosach.

Pomarańczowa sukienka, czarny sweter o szydełkowym wzorze, botki na szpilce chyba z węzowej skóry. W gabinecie stylizowane meble w kolorze mahoni, na podłodze turecki dywan. W przeszklonych szafach kolorowe segregatory i plastikowe kasetki z kluczami. Na ścianach, w bogato zdobionych ramach, obrazy przypominające klasyczne polskie malarstwo. Czyje to reprodukcje? Pani prezes nie wie. Nie jest też świadoma, że w zarządzanej przez nią kamienicy istniała pracownia. Prosi odpowie-

dzialnego za nią pracownika. Ten potwierdza, że może tam być pracownia, bo obecny jej lokator odziedziczył ją po bracie malarzu. Może on też maluje? Obiecuje, że się z nim skontaktują. Bez skutku.

Ostatnim lokatorem pracowni, o którym wspominają *Kroniki Miasta Poznania*, jest Rafał Jasionowicz, grafik i fotograf. Umawiamy się w jego pracowni przy ul. Taczaka w Poznaniu. Wita nas uśmiechnięty starszy pan o bujnej siwej czuprynie. W środku niewiele miejsca, bo wszędzie prace, akcesoria do sesji fotograficznych i inne drobiazgi. Na regałach książki, segregatory. Na ścianie trzy duże fotografie autorstwa córki Jasionowicza.

Jasionowicz zajmował pracownię przy Św. Marcinie od początku lat 70. Przydział dostał za pośrednictwem Związku Polskich Artystów Plastyków, gdy zwalniał ją Jerzy Kostka.

Pod koniec lat 60. zaprojektowane przez Jasionowicza butelka i etykieta do ginu zyskały liczne pochwały na Targach Poznańskich. Jednak ich lśniąco elementy przewyższały ówczesne możliwości technologiczne produkcji w Polsce i opakowanie nigdy nie stało na sklepowych półkach. Jasionowicz do dziś z dumą, ale i ze smutkiem wspomina swoją butelkę. Pokazuje nam pamiątki z tamtego okresu. „Gdyby to opakowanie wprowadzić na rynek amerykański, byłoby to najlepsze opakowanie do dżinu” — tak w 1969 r. cytowała Saymoura Wassynga, nowojorskiego projektanta, gazeta „Reklama w Handlu Zagranicznym” pieczętowała przechowywana przez artystę wraz z innymi dowodami uznania dla jego prac.

— Zlecenia w PRL-u były rozdzielane w drodze konkursów organizowanych przez Przedsiębiorstwo Sztuk Plastycznych, Krajową Agencję Wydawniczą lub Polfilm. Każdy artysta w czasach PRL projektował na zlecenia państwowe. Do początku lat 90. miałem nawet po sto zleceń na rok. Sporo zamawiały zakłady przetwórstwa spożywczego. Potem przedsiębiorstwa poupadały lub przeszły w prywatne ręce, a na rynku zaczęła rządzić cena — mówi z żalem Jasionowicz.

Do dziś korzysta z tradycyjnych technik graficznych, które są czasochłonne i wymagają precyzji. Nie lubi programów komputerowych, jednak samodzielnie skanuje swoje prace. Oglądamy jego plakaty w wersji papierowej. Przeważają wydarzenia kulturalne, choć znajdzie się i peerelowska propaganda. Jedne na bazie zdjęć, inne odręcznie rysowane, kolorowe i czarno-białe, połyskliwe i matowe.

— Było dużo problemów z jakością wydruków. Mimo to polski plakat dobrze się trzymał. Podobały się Japończykom, którzy myśleli, że tak miało być, że to efekt twórczy.

Jasionowicz dostosował pracownię przy ul. Św. Marcin do swoich potrzeb, aby na około pięćdziesięciu metrach zmieścić studio fotograficzne i laboratorium, w którym mógł realizować śmiało, jak na tamte czasy, projekty. Kolorowe zdjęcia, często w formacie metr na metr, wymagały wysiłku. Fotografia to był trzon działalności Jasionowicza: Zdzisława Sośnicka, Urszula Sipińska czy Krzysztof Krawczyk to tylko niektóre spośród około stu sław polskiej sceny, które korzystały z jego usług.

— Byłem głównym fotografem Estrady Poznańskiej.

W pracowni nie było zbyt wiele miejsca, ale czasem fotografowałem kilka osób na raz.

Także jego córka stawiała tam swoje pierwsze artystyczne kroki. Kilkuletniej dziewczynce zorganizował debiutancką „wystawę”. Pracownia była dla niego prawie jak dom.

Niechętnie mówi o okolicznościach, w jakich ją opuścił.

Stało się to, gdy kamienicę przejął nowy właściciel na początku lat 90. Nietypowa przybudówka stała się wtedy jednym z wielu lokali do wynajęcia.

Klatka schodowa
kamienicy przy
ul. Św. Marcin 29



W Muzie kasjerki pytają widzów:
„To pani? Czyli dwunasty rząd,
miejsce siódme?”

18

19

Kasa biletowa
Kina Muza,
ul. św. Marcin 30



Marlena Zagórska

KINOTERAPIA

Brama przykuwa wzrok kolorowymi afiszami, zadaszony dziedziniec. Po jednej stronie serwis rowerowy, na wprost kino.

Kino Muza działa od 1908 roku. Jedną z jego wielbicielką: — Tam dzieją się rzeczy niespotykane. Raz trafiłam na piekło.

Widzowie

Publiczność kina jest różnorodna, ale łączy ich miłość do filmów. Małgorzata Kuzdra, menadżerka Muzy, próbowała publiczność zbadać. Wyszło, że to grupa w przedziale 20—50 lat, więcej kobiet, raczej uczących się, z wyższym wykształceniem. Są i starsi, spędzają tu połowę życia, jak państwo Kalinowscy, słynni poznańscy kinomaniacy, którzy mieszkają nad Muzą. W ubiegłym roku byli na 120 filmach. Dzięki informacjom o repertuarze rozsyłanym mailami Kuzdra wie, kto przychodzi najczęściej. W tym roku nagrodziła najwierniejszych widzów — 25 osób zostało zaproszonych na specjalny seans, dostało upominki. Stara się ich traktować wyjątkowo. Podczas premiery filmu *Krok od sławy* wymyślono, by widzowie śpiewali przy kasie, nagrodą była zniżka na bilet. Podczas maratonu filmów absurdalnych *Mordercza opona* i *Wrona* przynosili opony, wybrano najładniej ozdobioną.

Kino docenia niepełnosprawnych — zrobiono miejsce na wózki, mogą korzystać z zestawu dźwiękowego. Pracownicy zostali przeszkoleni z obsługi widzów z niepełnosprawnościami wzroku, słuchu, ruchową.

— Jest dużo strachu z obu stron — twierdzi Kuzdra. — Niepełnosprawni boją się, że nie będą bezpieczni, za braknie miejsca, nie dotrą. Obsługa, że nie wie, jak się zachować. Chciałabym, by każdy film był dla nich dostępny. Nie chcę specjalnych seansów.

Siedzę na filmie z dialogami w języku migowym. Pełna sala. Nie ma rozmów, lektora, napisów. Nic nie tracę, historia opowiada się poprzez obrazy, sceny. Po seansie pytam dwie niedosłyszące dziewczyny. Przyszły, bo to pierwszy taki film w języku migowym.

„Momenty”

Zdarzają się w kinie, wtedy jest nerwowo. Na pokaz filmu *Huby* małżeństwa Sasnali przyszła awangardowa grupa artystyczna The Krasnals. Zajęli pierwsze rzędy — w maskach, z transparentami. Protestowali przeciwko Sasnalowi, choć ten nie dojechał. Wyciągali telefony,

chrząkali. Anka Sasnal udawała, że ich nie widzi, rozmowa jakoś się toczyła.

Kuzdra: — Zachowania Krasnalsów generowały agresję widowni, ale ludzie siadali bliżej gości, by lepiej słyszeć. Podczas festiwalu Transatlantyk dialogi czytał na żywo słynny lektor Tomasz Knapik. Ale dostał złe listy dialogowe. Wybrnął humorem: „Na ekranie pan biega z nożem, z obciętą głową, ale ja tu mam proszę państwa scenę miłosną”. Sala w śmiech.

Podczas festiwalu Animator obraz filmu był do góry nogami. Puszczono go ponownie, ale obsługa podejrzewała, że publiczność uznała to za zamierzony efekt artystyczny.

Klub

Piotr Maciantowicz — dwudziestoparolatek, długie dredy — zajmuje się w Muzie promocją, prowadzi Dyskusyjny Klub Filmowy Kamera, który działa od 1966 roku. Uczestnicy jego spotkań to słuchacze, którzy nic nie mówią, ale i tacy, dla których DKF jest formą terapii, ucieczki od samotności. Czy DKF ma sens, gdy żyjemy w biegu? Był przestój, w DKF-ach, przyznaje Maciantowicz, ale to zależy od zapraszanych gości, różnicowania tematów, ciekawych filmów.

— Nie muszą to być arcydzieła, chodzi o emocje. Ludzie zostają wtedy po seansie, mają czas. DKF spotyka się we wtorek o 21.00 i czasami kończy grubo po północy, z 20—30 osobami na sali.

Bywalcy

Natalia. 29 lat, ciemne włosy do ramion. Przyjechała do Poznania po studiach z Zielonej Góry. Do Muzy przychodziła z chłopakiem, dziś jest jej mężem. Pracuje w branży public relations, a Muzę lubi za działania marketingowe, ofertę repertuarową, ciągły rozwój. Pracowników zna z widzenia, czasami dzwoni do pań w kasie, by zarezerwować bilet, bo przychodzą z mężem na ostatnią chwilę. — Wśród kasjerek nie ma wielkiej rotacji. Wiemy, do kogo się zwrócić.

Natalia woli chodzić do kina w pojedynkę, najlepiej do pustego.

— Czułabym się najszczęśliwsza, gdybym była na sali sama. W Zielonej Górze zdarzało się, że całowałam klamkę, bo na seans nie uzbierało się pięcioro widzów. W Muzie chyba tego nie ma. Jestem specyficznym

widzem, a Muza ma dla każdego ofertę, także dla specyficznych. Kocham ten klimat.

Co zmieniałaby w Muzie? Przyjemne sprawy — wyremontowałaby toalety, zmieniła wejście, naprawiła klimatyzację. Nie ma na sali swojego stałego miejsca. Lubi się spóźniać, a po rozpoczęciu seansu numeracja nie obowiązuje.

— Lubię Muzę za niecodzienne sytuacje. Raz trafiłam na Psychoterapeutyczny Klub Filmowy, po filmie *Porozmawiajmy o Kevinie* o chłopcu psychopacie. Ktoś z widowni mówił nie na temat, prowadząca go dyscyplinowała. Zdenerwował się. Rozpętało się piekło, wszyscy się kłócili, siedziałam z otwartą buzią. Niesamowite, że w filmie jest tyle emocji, zarzewia do dyskusji. W innym kinie to by mnie nie spotkało.

Bywa w kinie 3—4 razy w tygodniu.

— Gdy nie przychodzę, czuję wewnętrzny niepokój i wyrzuty sumienia.

Uczestniczyła w konkursach na recenzję. Dwa razy dostała wyróżnienie. Pisała o filmie „XXY”. Mąż odbierał za nią nagrodę. Film był o dziewczynce, która jest hermafrodytą. Gdy wyczytano Natalię i wstał mężczyzna, sala wybuchnęła śmiechem.

Iwona. 44 lata. Drobna, uśmiechnięta szatynka. Tłumaczka angielskiego i hiszpańskiego, co ma wpływ na jej wybór filmów. Rozmawiamy w Muzie przed seansem z cyklu Tydzień Kina Hiszpańskiego. Ogląda filmy, bo ma dość książek, które na co dzień tłumaczy, ale wizytę w kinie i tak zaczyna od półki z książkami do wymiany. Do Muzy chodzi od 25 lat, od czasów liceum, kilka razy w miesiącu. Jedno z pierwszych wyjść? Jeszcze z klasą na *Nad Niemnem*. Pili w kinie wino.

— Chodziłam też do kina Wilda, ale tam teraz Biedronka. Podczas studiów była w Muzie na przeglądzie filmów Jima Jarmusha. Zrobiły na niej takie wrażenie, że prawie przez tydzień nie chodziła na zajęcia.

— Chciałam żyć tym Jarmuschem, te filmy mnie uderzyły, nie chciałam wracać do codziennego życia. Chodziłam po mieście jak w kinie drogi.

Zdarza jej się zostać na spotkaniu DKF. W ubiegłym roku był krytyk Tomasz Raczek. Po filmie *Tajemnica Filomeny* została cała widownia, pewnie ze względu na nazwisko prowadzącego. A Iwona została, bo jest gadułą, zawsze ma coś do powiedzenia.

Ewelina. Szatynka o śmiejących się oczach, 37 lat. Pochodzi z Gdańska, zajmuje się reklamą. W Gdańsku chodziła do kin studyjnych, szukała tego w Poznaniu. Bez popcornu, bez siorbiących colę. Znalazła kilka miejsc, ale Muza ją uwięzła. Dlaczego? Nie wie. Była w Apollo, nie zaiskrzyło. Była w Charlie Monroe, też nic.

— To jak z miłością. Ciężko wybadać. Nie szukam w kinie odpowiedzi na pytania egzystencjalne. Ale lubię traktować bohaterów filmowych i książkowych jak przyjaciół.

Ma swoje stałe miejsce w Muzie — po środku ostatniego rzędu. Zakochała się w ciasteczkach owsianych z czekoladą, które można kupić przed wejściem na salę. Najczęściej przychodzi z mężem, czasem z bratanicami albo sama. Ogląda do sześciu filmów tygodniowo. Sądzi, że to za mało. Dawniej przychodziła codziennie. Uważała, że magia kina to wielkość ekranu, ale zmieniła zdanie. W domu też ma duży, ale to nie to samo.

— Do kina wchodzimy razem, ale w pewnym momencie każdy jest sam, jakby żył z bohaterami.

Ewelina nie pamięta pierwszego filmu w Muzie, ale ma wszystkie bilety w dwóch srebrnych pudłach z Ikea, zapchanych po brzegi. I ciągle zbiera, a pudła zabiera podczas każdej przeprowadzki.

Czasami filmy jej się śnią. Ostatnio *Sin City III*. Była pewna, że obejrzała go z mężem. Niemożliwe, powiedział, nie było takiego. Kłóciła się, że przecież widzieli razem. Dopiero gdy sprawdziła w internecie, uwierzyła, że to był sen.

Ola. 23-latką z różowymi, upiętymi wysoko dreadami, tatuażami i licznymi kolczykami. Pracuje w sklepie z biżuterią autorską. Gdy poznała swojego chłopaka dała mu kosza. W Dzień Kobiet na film *O północy w Paryżu* poszła z przyjaciółką. W kasie Muzy kasjerka spytała: „To pani jest Ola?”. Była zdziwiona. Kasjerka miała nawet jej zdjęcie. Nie było biletów, ale kwiaty i list. Zostawił to jej obecny chłopak. Są razem od trzech lat.

Ola nie ma ulubionego filmu. Obejrzy jeden i może sto razy, obejrzy inny i przez trzy dni ma depresję.

— Do Muzy chodzę z głupiego powodu... Nie jestem wysoka, a we wszystkich kinach ci z przodu mi zasłaniają. W Muzie zawsze bierzemy miejsca 6 i 7 w pierwszym rzędzie. Bileterki nas przez to rozpoznają. To właśnie plus Muzy. Mam wobec niej rodzinne uczucie, jakbym wracała do bliskiego mi miejsca.

Chodzi do kina średnio raz na tydzień. Na co ostatnio? „Szybcy i wściekli 7”. Na pewno w Muzie?

— Nie, właśnie nie. To było poświęcenie dla związku, chłopak chciał...

Lubi Maciantowicza prowadzącego DKF. Zauważyła, że w Muzie nie pracują ludzie przypadkowi, z ulicy, tylko ci, którzy żyją kinem. Na DKF nie chodzi regularnie, ale w drodze do domu prowadzi dwuosobowy klub dyskusyjny z chłopakiem.

Agnieszka. 22 lata, drobna, modnie ubrana brunetka z włosami upiętymi w kok. Studiuje kulturoznawstwo, pochodzi z Torunia, pracuje w teatrze alternatywnym.



Kabina
projekcyjna
Kina Muza,
ul. św. Marcin 30



— Nie patrzę w Muzie na repertuar, idę na wszystko. Nawet słaby film coś zostawi. Czasem zamiast zjeść obiad kupuje bilet za 12 złotych. W Muzie lubi kino nieznane, np. islandzkie. Jej stałe miejsce to czwarty rząd, środek.

— Uwielbiam, gdy wydaje mi się, że jestem sama, bo nie widzę nikogo przed sobą. Irytuje się, gdy ktoś siada obok. Wtedy sobie myślę: „O nie! Powinnam była usiąść w trzecim!”. Mogę iść ze znajomymi, ale nie chce mi się prosić, czekać na wielką wyprawę.

W Tanie Czwartki (ceny biletów są niższe) idzie na co najmniej jeden film.

— Zdarza się, że wszystkie widziałam, ale idę drugi raz. Gdyby mogła coś zmienić w kinie, to dałaby jeszcze częstsze projekcje. W tygodniu filmy zaczynają od godz. 15.00. Agnieszka siedziałaby od 11.00.

Nie zawarła w kinie znajomości. Wbiega zazwyczaj ostatnia, wybiega jedna z pierwszych. Nie lubi tłumy.

— Biję się ze sobą, czy chodzić na te wszystkie Tygodnie Kina Hiszpańskiego, Afrykameę, gdzie masa ludzi, degustacja wina. Ale chodzę, bo inaczej tych filmów nie zobaczę. Chcesz iść na swoje miejsce i nie możesz się precyzować. Jakaś masa, która mnie zjada i nie pozwala skoncentrować się na obrazie.

Lubi przyjść dwie godziny wcześniej, wypić kawę, usiąść na kanapie, posłuchać dobrej muzyki. To jak przedświecie spokojniejszego świata. Jest ciekawa nowego pomysłu Muzy — Kina Dynamo.

— Jak to będzie możliwe? Nie wyobrażam sobie...

Dynamo

Na dziedzińcu kina stoją stoliki z potrawami — sernik, tartę. Jest też DJ, muzyka. To otwarcie Kina Dynamo. W sali są jeszcze wolne miejsca, pełno dziennikarzy, telewizja. Kuzdra stoi pod ekranem, objaśnia.

— Mamy dystrybutor z wodą, jeśli państwo osłabną. Zostawiamy otwarte drzwi, bo może być jakiś zapach... (śmiech na sali) Nie, że ludzki, tylko od dętki i dynamo... Kino Dynamo to ustawione w sali rowery. Dwa muszą cały czas się kręcić, by dynamo dawało prąd, a obraz filmu płynął po ekranie. Gdy zapali się zielona latarka, pedałujący robią zmianę. Jeśli rowery staną, na ekranie pojawi się obraz topiącej się taśmy. Założenie jest takie, tłumaczy Kuzdra, że każda para pedałuje 5—10 minut. Odzew z sali: „A, damy radę!”.

Telewizja kręci, pierwsi chętni pedałują, rozbrzmiewa ścieżka dźwiękowa filmu *Drive*. Na ścianie, tuż przy ekranie, pedałuje cień jednego z rowerzystów. Słychać lekki świst kół, ale nie przeszkadza. Każdy, kto wyprodukował trochę prądu, dostaje w nagrodę opaskę rowerową na nogę. Nadchodzi moja kolej. Zbiegam w dół sali, „odjeżdżam”.

Jest lekko, pedały uciekają mi spod stóp. Jadę i z przejścia tracę wątek filmu.

Kasa

Dorota, kasjerka, krótkowłosa blondynka trafiła do Muzy pod koniec lat 90. Wcześniej pracowała w tym kinie jej mama. Teatr, muzyka, kino są Dorocie bliskie duchowo. Najbardziej lubi kontakt z widzami. Gdyby mogła coś zmienić, to okienko kasowe na otwartą przestrzeń.

— Nawet w bankach kontakt jest bezpośredni. Szybko mnie ogranicza. Kasa powinna wyglądać jak bar. Gdy zaczynała pracę, sprzedawała bilety podbijane stemplem. Teraz jest komputer. Czym jest dla niej klimat Muzy?

— W dużych multikinach każdy jest anonimowy. Przyjdzie, wejdzie, zje popcorn. Tu widzowie nas znają. Czasem kino jej się śni. Pisz w nich skomplikowane raporty dla kinowej administracji. Założyła z koleżanką zeszyt, w którym zapisują niecodzienne zdarzenia. Jest tam o żywych kotach na poranku dla dzieci, wklejone zdjęcie byłego biletera, który dzisiaj jest dziennikarzem w Gdańsku, ale dostał do Muzy dożywotni bilet. Albo pożegnalna piosenka: „Płaczymy do bólu, a ty hen w Oulu” — to dla Ani, która wyszła za Fina i wyprowadziła się do miasta Oulu w Finlandii. Jest też dialog z widzami:

— Proszę Pani, co dzisiaj leci?

— Polski film *Pod Mocnym Aniołem*

— Z dubbingiem?

Kupuję bilet. W okienku pani Ania. Szeroko uśmiechnięta, też krótkowłosa blondynka, pracuje w kasie od 1997 roku. Pracę znalazła przez ogłoszenie. Sprzedaje bilety, wstawia repertuar do systemu komputerowego, obsługuje telefon, odpowiada na maile. Czasami widzowie rozpoznają ją na ulicy. Za okienkiem ma kwiatek od stałej klientki. Dostała też pierniki od innego bywalca, rogala z okazji obchodów ulicy Św. Marcin. Pytam, czy mogłabym porozmawiać z operatorem. Ania podnosi słuchawkę.

— Seweryn? Tu jest taka pani... Mogę ją wpuścić?

Taśma

Idę na zewnątrz, w prawo, w brązowe, metalowe drzwi na parterze. Seweryn, operator, jest wysoki, krótko ostrzyżony, 37 lat. Siadam w dużym pomieszczeniu, widzę trzy projektory, dwa taśmowe i jeden cyfrowy. Jest półka z drewnianymi przegrodami na filmy i stolik z komputerem. Na ścianie osiem okienek projekcyjnych, pod nimi obrotowy fotel. Seweryn pracuje w Muzie od sześciu lat. Kiedyś na jego osiedlu działało kino Dąbrówka.

— Pierwszym filmem, który tam obejrzałem było *Cudowne dziecko*, stara polska produkcja. Wszedłem z ciekawości do kabiny, miałem chyba 14 lat. Jako 15-latek wyświetlałem

już filmy. Ale wszystko zaczęło się od projektora Ania i bajek na prześcieradłach.

W Muzie taśmę wyparła technologia cyfrowa. Seweryn z kinooperatora, który bawił się sklejką i taśmą filmową, stał się informatykiem — bawi się dyskami twardymi i obróbką cyfrową.

Co najbardziej lubi w pracy? Spokój. Czasami zejdzie na salę, siądzie z boku. Ale nie za długo. Denerwują go szelsty, komentarze. Przyzwyczał się do jednostajnego szumu maszyny. Czego nie lubi? Gdy znajomi mówią: „Chodź do kina na film”. Nie chodzi. Gdy poszedł do Rialto, to oglądał, ale oceniał też pracę kinooperatora, czy dobrze zrobił przejście, czy pilnuje ostrości. Filmy ogląda w pracy, przez otwór 21 na 18 cm, od 20 lat. Ale nie ma już tego uroku, tego turkotu maszyny. Niektóre kina pozbyły się operatorów razem z projektorami analogowymi.

— To była kiedyś praca. Teraz wykreślona z listy zawodów. Mieliśmy prawo odejść po 25 latach na emeryturę ze względu na szkodliwe warunki. W projektorach używało się otwartego łuku elektrycznego, a w składzie elektrod, które świeciły w środku, było pół tablicy Mendelejewa. Trzeba było pić litr mleka dziennie, żeby odtruć organizm. W czasach kina analogowego przyjeżdżała do Poznania jedna kopia filmu na kilku rolkach. Był wyświetlany w paru miejscach, w małych odstępach czasowych. Gdy rolka z kawałkiem filmu była grana w jednym, to po zakończeniu jechała do następnego. Potem kolejne rolki. To wymagało zgrania w czasie.

— Widzowie oglądali spokojnie film, a za ich plecami sceny jak z filmu sensacyjnego. Gdy wbiegał do mnie pendlarz, czyli człowiek, który rozwoził kopie, to na projektorze miałem minutę filmu do końca pierwszej rolki. To był wyścig. Zdarzały się spóźnienia, wtedy zapalały się światła na widowni, bileter przeproszał, mówił o usterce technicznej. Ale to wina pendlarzy.

A wpadki operatorów?

— Koledzy z Bałtyku utopili dwa razy *Titanica*. Pomyliły im się rolki. Gdy główna bohaterka żegnała się z tonącym ukochanym, po zmianie rolek znów stała na dziobie statku. Operatorka w Rialto pomyliła rolki i po 40 minutach *Młyn i krzyż* Majewskiego stał się *Melancholią* Larsa von Triera. Jedna z części *Harry'ego Pottera* miała dziewięć rolek. Pomyliłem wszystko. Po czwartej poleciała szósta, po szóstej piąta, po piątej znowu szósta.

Niektórzy rozpoznają operatora po natężeniu dźwięku.

Seweryn lubi grać filmy głośno, żeby widz czuł, że siedzi w kinie. Jego kolega gra ciszej. Słyszał uwagi: „A, dzisiaj ten młody, to będzie głośno”.

Projekcję zaczyna zawsze o czasie. Uważa, że kino jest jak dworzec kolejowy. Odjazd to odjazd. Kolega zaczyna reklamami ciut później, by ostatni widzowie jeszcze się

dosiedli. Lubi pełną widownię. Ale, gdy jest tylko jedna osoba, też puszcza film.

— Wiadomo, poszedłbym wcześniej do domu. Ale ta jedna osoba też przyjechała kawał drogi.

Czteropiętrowa kamienica przy Św. Marcin 28 na przedwojennej pocztówce dominuje stylem nad pozostałymi. Wygląda zamożnie. Balkony w kwiatach, ozdobne gzymsy, wykusze, w oknach drewniane rolety. Na parterze dwa sklepy. Cień i chłód dawały zamożnej klienteli markizy. Została częściowo zburzona w 1945 roku. Przy odbudowie obniżona, nigdy nie odzyskała pierwotnego świętomarcińskiego blasku i poprzednich lokatorów.

W 1963 roku Poznańskie Zakłady Gastronomiczne otworzyły na parterze koktajlbar. Nazwano go Kociak . Dziś ma duże wystawowe okna, ozdobnie zawieszane kwiaty. Klientów zapraszają dwa wysokie drewniane kociaki.

24

25

Babeczki, galaretki,
jogurty —
Kawiarnia Kociak przy
ul. Św. Marcin 28



GALARETKA
7,90,-

Damian Rożek-Pawłowski

STOLIK PRZY OKNIE

Lipiec. Środa. Dochodzi godz. 9.00. Ciepły, zapowiadający dobrą pogodę poranek. Młode kobiety idą Św. Marcinem w letnich przewiewnych sukienkach. Mężczyźni są w T-shirtach.

Przed drzwiami Kociaka kręcą się Jurek i Stanisław. Wyglądają na 70—80 lat. Jurek ubrany w jasną koszulę z krótkimi rękawami, ciemną, sportową kamizelkę. Na stopach sandały. Przez ramię przełożył skózaną torbę. Stanisław ma lekki sweter, ciemne, uprasowane w kant spodnie, skórzane buty. Jurek około godz. 8.30 wsiadł w tramwaj na Starym Żegrzu. Drugi ma blisko, mieszka na tyłach sąsiadującej z Kociakiem kamienicy.

W lokalu ostatnie przygotowania do otwarcia — ekspres włączony, desery w szklanych lodówkach równo ustawione, ciasta wyeksponowane. Teresa, bufetowa, szczupła, średniego wzrostu, około pięćdziesiątki, już gotowa zerka w kierunku drzwi. Widzi Jurka i Stanisława zaglądających przez szklane drzwi.

8.59. Teresa idzie do drzwi, przekręca klucz, wszyscy się witają, kłaniają. Panowie kierują się do stolika przy oknie. Bo to ich stolik. Ale jeszcze nie zamawiają. Jurek kładzie przed sobą gazetę, Stanisław chwilę milczy, przez szybę patrzy na ulicę.

— To jest jak nałóg — odzywa się Jurek.

Nałóg — Kociak — i ceremonia siadania przy tym samym stoliku trwa u nich od dwudziestu pięciu lat.

— No chyba że wie pan... Do lekarza trzeba pójść albo coś pilnego z rana wypadnie. Ale jesteśmy raczej codziennie.

Stanisław: — Są tacy, co mają pretensję, że zawsze zajmujemy ten stolik przy oknie — poprawia chyboczący się, stojący na jednej nodze stolik.

— Ale nas było więcej: Bronek z Junikowa, ze dwa lata jak nie żyje, Gienek z Piątkowa, zmarł z pięć temu, Krysia... zmarła. Kurczymy się.

9.15. Panowie składają pierwsze zamówienie — herbatę. Bo emerytury niskie, tłumaczą, nie co dzień mogą sobie pozwolić na coś lepszego, są tu desery tak wykwintne, że ich nie stać.

Stanisław z ulicą Św. Marcin związany jest przez większość życia.

— Kiedyś te podwórka były czyste, rosły kwiaty, drzewa, nie to co dziś.

Pamięta jak budowano wieżowce — Alfę.

— Ten rząd kamienic, w którym siedzimy, miał być

wyburzony i tutaj też miały stanąć wieżowce.

Jurek potakuje głową.

— Święty Marcin był połączony tunelami z placem Wolności, nawet do Starego Rynku można było dojść.

Niemcy takie tunele, piwnice pobudowali. W czasie wojny pewnie służyły za schrony. Pamiętam, jak po wojnie szedłem piwnicą z mojej kamienicy, a wyszedłem w przy placu Wolności. Ale dzisiaj to chyba wszystko już zasypane.

10.30. Panowie się zbierają.

Czwartek. Minuta do godziny 9.00. Pada deszcz.

Przed Kociakiem Jurek i Stanisław z mokrymi parasolami.

— Tak, pani Czesława była szefową w Kociaku całe życie — mówi Stanisław. Do drzwi podchodzi Teresa, przekręca klucz. Grzecznościowa rozmowa o pogodzie i idą do stolika przy oknie. Jurek wyciąga gazetę, Stanisław patrzy przez szybę na błyszczący od deszczu uliczny bruk.

Na chodniku zatrzymuje się taksówka. Wychodzi z niej elegancka pani około siedemdziesiątki, trzyma parasol. Wchodzi do środka, strzepuje krople deszczu, rogląda się po lokalu, wita się z obsługą. To Czesława Bączyk, była szefową Kociaka od 1963 roku. Legenda. Gdy zaczynała pracę, to w części, w której siedzi Jurek i Stanisław, był sklep z porcelaną. Zna się z nimi od czasu, gdy zaczęli siadać przy oknie.

9.15. Do Jurka i Stanisława dosiadają się dwie emerytowane kelnerki Kociaka — wysoka, postawna Urszula i niższa, w okularach, Stefania. Pracę, wspominając, zaczęły kiedyś o 7.00. Godzinę później zasiadały do „rodzinnego” śniadania, lokal otwierany był o 8.30. Każdego dnia od rana tłumy.

Bączyk, podeksycytowana: — W latach świetności miałam tu około dwudziestu etatów. Był moment, że nawet dwadzieścia sześć! Jednego dnia potrafiłyśmy obsłużyć tysiąc osób! Mężczyźni? Nigdy nie zatrudniałyśmy mężczyzn.

Jak to dlaczego? Tak się jakoś złożyło... Właściwie to nie wiem. Ale bufetowe miałam wykwalifikowane, po odpowiednich poznańskich szkołach.

Dosiadła się aktualna szefowa Elżbieta Karwat. Niesie kawę. W średnim wieku, elegancka, w jasnej garsonce.

Karwat: — Bo dzisiaj zatrudnia się niewykwalifikowaną młodzież, studentów. Nie mają pojęcia o zasadach kelnerstwa. Poziom poznańskich lokali bardzo się obniżył.

To już nie to samo.

Skąd Kociak czerpał pomysły na desery?

Bączyk: — Wyjeżdżałam służbowo do Włoch, Hiszpanii,

tam podpatrywałam. Największy ruch miałyśmy w Dzień Kobiet, obchodziliśmy go bardzo hucznie! Tego dnia panowie zapraszali panie na desery do lokalu.

Jurek potakuje głową, uśmiecha się.

— Jak któryś z kolegów miał imieniny, to się zamawiało koniaczek.

Bączyk: — Z deserów popularne były anula, ambrozja, afrykański, hiszpański. Schodziło mnóstwo kremów, galaretek, tortów, lodów, które miałyśmy z własnej pracowni, a maszyna do ich produkcji była sprowadzona z Włoch.

— Dziewczyny, ale serwowałyśmy też śniadania — włącza się Urszula, emerytowana kelnerka. — Była jajecznica, kanapki z szynką, z serem, kakao, kawa. Byliśmy jednym z najtańszych lokali na śniadanie.

— A pamiętacie, jak wszedł Mieczysław Fogg z taką jedną damą! — ożywia Stefania. — Oniemiałam! Miał na sobie elegancką marynarkę w kratę. Ale co zamówił, nie pamiętam — Stefania patrzy gdzieś daleko przed siebie, jakby przeniosła się do tamtego dnia.

— Foggą nie pamiętam — mówi Czesława. — Ale pamiętam Andrzeja Dąbrowskiego, tego piosenkarza — zamyśla się tak samo jak Stefania.

10.30. Stanisław patrzy przez szybę na ulicę. Zbierają się z Jurkiem do wyjścia.

Kamienica przy
ul. Ratajczaka 25 —
widok od strony
podwórza

for. Maciej Kaczyński



26

27

Wnętrze
kawiarni Kociak,
ul. Św. Marcin 28





U wylotu ulicy Św. Marcin, na ścianie kamienicy przy ulicy Ratajczaka 25, widzę tablicę pamiątkową malarza Tadeusza Wolniewicza. Z bramy wychodzi spacerowym krokiem około sześćdziesięcioletni mężczyzna. — Mój dziadek się z nim przyjaźnił — mówi. Na tablicy poetycki opis podszyty tajemniczym dramatem.

Justyna Bryske

IKAR Z TRZECIEGO PIĘTRA

Mikrus

Kim był mało znany dziś malarz? Z książki *Raptularz Średzki* dowiaduję się, że wspomnienia o nim spisała jego siostra, Czesława, która już jako młoda dziewczyna nosiła czarny pas wokół talii. Przysięgła sobie, że dopóki Polska będzie pod zaborami, za mąż nie wyjdzie, a będzie wierna tylko ojczyźnie.

Wolniewicz był, jak czytam we wspomnieniach, drobnym mężczyzną. Gdy wcielano go do wojska w 1915 roku, ważył ledwie 41 kg. Pisał do domu: „Byłem o wiele mniejszy niż najmniejsza waga wojskowa”. Gdy stał wśród nagich poborowych, wyobrażenia podsuwała mu obrazy: „Widok ten byłby mnie dawniej zgorszył. U stawki żywo mnie zainteresował” — czytam. „Doszedłem do przekonania, jakim człowiek w swej naturalnej postaci jest niezaprzeczenie doskonałym stworzeniem. Przypomniały mi się obrazy mistrzów Odrodzenia”.

W zapasowym pułku niemieckiej piechoty w Torgawie nad Łabą pracuje w świetlicy żołnierskiej, maluje portrety oficerom. Trzyma się z Franciszkiem Zygartem, innym malarzem poznańskim. „Polakom w wojsku pruskim zależało, aby nie dostać się na front. I tego Tadeusz szczęśliwie uniknął” — pisze Czesława.

W listopadzie 1918 roku Tadeusz jedzie na urlop do domu. Przebywa w niemieckim szpitalu wojskowym, gdy wybuch powstanie wielkopolskie. Potem studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Po kilku miesiącach dostaje wiadomość od ojca, że pieniędzy już nie dostanie. Otwiera walizkę, wrzuca do niej plik kartek zarysowanych portretami, wraca do domu na Ratajczaka. Do Krakowa już nie wróci. Damian Nowak, mężczyzna, którego spotkałam pod bramą, skontaktował mnie z Dorotą Strzelecką.

Jej dziadkowie przyjaźnili się z ojcem malarza. Dorota Strzelecka pracuje w Galerii Miejskiej w Mosinie, w budynku po synagodze żydowskiej. Jest po pięćdziesiątce, ma, jak mówi, artystyczną duszę.

— Ojciec Wolniewicza był otwarty na ludzi, towarzyski, z charakterem. Córkę wychował na Młode Polki, które na czas zaborów składały śluby panieńskie i nie wychodziły za mąż z powodów patriotycznych. Były ładnymi kobietami. W katolickim stowarzyszeniu Młodych Polek czytały i śpiewały poezję, interesowały się literaturą, sztuką, wszystko miało charakter patriotyczny i tym wartościom się poświęcały. Ojciec Tadeusza miał zakład rymarski, dobrze mu się wiodło. Szkoda, że Tadeusz nie skończył szkoły krakowskiej. Tylko matka go wspierała, ale niewiele miała do powiedzenia. Pokazuje mi zdjęcia. Ojciec Tadeusza, Nikodem Wolniewicz, należał do Rady Ludowej. W dniu pierwszej rocznicy powstania wielkopolskiego, 27 grudnia 1919 roku, poszedł na dworzec kolejowy. Na fotografii, którą pokazuje mi Strzelecka, stoi tam otoczony dziećmi i kobietami. Ma zakład rzemieślniczy przy Bazarze, jest prezesem Izby Rzemieślniczej. Na tym samym zdjęciu patrzy na Ignacego Paderewskiego, potrząsa prawą ręką. Słynny pianista i polityk lekko pochyla głowę, słucha. Kolejne zdjęcie. Matka Tadeusza ma drobne dłonie, które trzyma na kolanach.

Pocztówka, a na jej odwrocie ojciec Strzeleckiej pisze, że w 1919 roku malarz wysłał do Krakowa realistyczny obraz *Uczta u Gerona* i wniosek o przyjęcie na Akademię Sztuk Pięknych.

Zdjęcie: Tadeusz siedzi na krześle w pracowni. W tle, na ścianie, wisi kilkadziesiąt portretów. Obok stoi sztaluga

z męskim portretem, jakaś dziewczyna pochyla się nad kartkami. Miał 22 lata, na fotografii wygląda młodziej. Strzelecka czuwa się w los artysty: — Może to pracownia w Krakowie? Był piekielnie zdolny. Szkoda, że rodzina była taka niewyrozumiała dla jego zdolności... Ta krakowska szkoła rozwinęłaby jego talent, a tak wrócił do Poznania, malował to, co wcześniej, głównie martyrologiczne wątki. Z drugiej strony... Był wychowany w kulturze mieszczańskiej, poznańskiej. Nie wiem więc, czy przy tej wrażliwości byłby w stanie przeżyć w artystycznie rozbuhanym Krakowie.

Siostry

W jednej z książek o Stanisławie Moniuszce widzę obraz Apoteoza. Dorota Strzelecka od ojca słyszała, że to projekt kurtyny dla Teatru Wielkiego im. Moniuszki w Poznaniu namalowany przez Wolniewicza.

— Ale w dokumentach nie ma takiego zlecenia.

Czy była to inicjatywa malarza?

Jeszcze przed pobytem w Krakowie tworzy *Matkę Boską Częstochowską z Orłem polskim w koronie*. Obraz wisi w Muzeum Archidiecezjalnym w Poznaniu. Inne dzieła są w Muzeum Narodowym i w Kórniku. Ale nie ma jego prac w stałej ekspozycji. W Narodowym wychodzi do mnie mężczyzna w białych rękawiczkach, niesie obraz, kładzie na stole. To portret chłopca. Z *Katalogu Dziel malarstwa, rysunku lawowanego i rzeźby ze zbiorów poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk* wynika, że to dar artysty dla Muzeum Mielżyńskich z 1918 roku. W muzeum Biblioteki Kórnickiej jest kilka ilustracji: *Wiwat na wieży ratusza poznańskiego po umieszczeniu na niej Orła za panowania Stanisława Augusta*, *Cud przy Wronieckiej bramie*, *Widmo Hieronima Powodowskiego*, *Sprowadzenie kawalerów maltańskich do Poznania* i *Figura św. Jana Nepomucena na Starym Rynku*. Ilustracje te muzeum kupiło od Bronisławy, siostry malarza.

W Luboniu mieszkają krewni malarza: syn brata stryjecznego Wolniewicza, Stefan i jego syn Paweł. Tadeusz, jak mówią, miał trzy starsze siostry — Bronisławę, Czesławę, Stefanię i brata Nikodema. Jedna z nich, ciotka Bronia, jak pamięta pan Paweł, w upalny dzień nosiła na dłoniach rękawiczki z koronki, czarny płaszcz, kapelusz, podpierала się na laseczce. Pokazuje mi obraz Bronisławy namalowany przez brata — kobieta siedzi na dużej księdze. W popielniczce dopala się papieros. Tytuł: *Próżność*. — Siostry Tadeusza nie wyszły za mąż, nie założyły rodzin. On był najmłodszy, kruchy, słabego zdrowia. Opiekowały się nim — mówi Strzelecka. Na jednym ze zdjęć Tadeusz siedzi w pracowni przy ul. Ratajczaka, ma około trzydziestu lat. Patrzy w bok, ręce splecione. Obok niego siostra Czesława patrzy w obiektyw,

uśmiecha się, jest gładko uczesana, ubrana na czarno.

Na wersalce siedzi matka, ma białe włosy.

Na kolejnym zdjęciu Stefania pozuje z siostrami

w drzwiach balkonowych mieszkania przy Ratajczaka.

Między nimi stoi Tadeusz, jest mały, siostry go przewyższają, Stefania patrzy na ulicę, ciemna narzuta spływa jej z ramienia. Brat namaluje ją jako Juliusza Cezara.

— Miał kontakt z malarzami poznańskimi? — pytam Strzelecką.

— Zdaniem mojego ojca Tadeusz nie był znany w mieście. A środowisko artystyczne Poznania było małe, jak ktoś miał zdolności, od razu był w nie wciągany. Tadeusz wyglądał bardzo młodo, może dlatego był poza nim. Siedział też w poprzedniej epoce twórczej, w Młodej Polsce, jego malarstwo nie było na czasie... Szkoda, że Akademia Krakowska nie wpłynęła na jego rozwój artystyczny. Był zajęty, starał się wykorzystać swój talent, ilustrował książki w wydawnictwie Św. Wojciech.

Ilustrator

W Muzeum Archidiecezjalnym widziałam cykl ośmiu ilustracji pt. *Legenda o Trzech Hostiach*. Mają one tytuły: *Przekupienie*, *Kradzież hostii*, *Bezczeszczenie*, *Widzenie*, *Relacja pasterza*, *Cudowne uwolnienie*, *Biskup zabiera hostię*, *Spalenie winowajców*. To ilustracje do legendy o Żydach, którzy bezczeszczą hostię. Czy malarz brał udział w antysemickim przekazie?

Strzelecka: — Odnoszę wrażenie, że ta legenda miała wtedy podtekst religijny. Funkcjonowało wówczas przekonanie, że Żydzi wydali i spowodowali śmierć Chrystusa. Pokazuje mi też pocztówkę ze szkicem olejnym Wolniewicza z legendą o Królewiczu Wron. Wynika z niej, że trębacz na poznańskim ratuszu opiekował się rannym królem wron. Po odlocie ptaka znalazł trąbkę. Gra na niej, kiedy na Poznań idą żołnierze, a ptaki dziobią wroga. — Często budował scenografię do obrazów późniejszych dzieł na podstawie legend. Nie były to obrazy przypadkowe, tworzyły napięcie. Był bardzo zdolnym portrecistą i ilustratorem.

W obrazie *Ludgarda* wykorzystał motyw uduszenia zaczerpnięty z poznańskiej legendy, namalował ją tuszem brązowym i czarnym.

— Nie miał pieniędzy na farby olejne, żył skromnie, z tego co zarobił, kupował materiały do pracy, ale też wykorzystywał opakowania, na przykład od papierosów, cygar, itp.

Czy należał do jakiejś grupy artystycznej?

— Nie ma go pośród grupy Plastyka. Należeli do niej wszyscy, którzy odgrywali ważną rolę w Poznaniu — opowiada Jarosław Mulczyński, autor słownika o grafikach poznańskich. Razem łatwiej im było się wystawiać.

Malowali w różnej stylistyce, bez manifestu.

Dlaczego?

— W Poznaniu nie istniała awangarda — mówi Mulczyński.

Strzelecka: — Ojciec mówił, że Wolniewicz przychodził do jego mieszkania, szkicował wszystkich w pięciominutowkach na małych ścinkach papieru. Był genialnym portrecistą. Ojciec skupował te obrazy od cioci Broni, kiedy nie miała środków do życia.

Patrzę na zdjęcie gabinetu jej ojca Kornela

Białobłockiego. Po wojnie był inżynierem budowlanym.

Chodził z teczką, miał w niej lupę, szczyryk, papiery, parę historycznych monet. Na ścianach jego pokoju, jak widzę na zdjęciu, wiszą obrazy i rysunki Tadeusza Wolniewicza oraz Jacka Strzeleckiego. Na jednej ścianie pracowni, jak wspomina Strzelecka, stały regały z książkami, a w nich kilkanaście tytułów z ilustracjami Wolniewicza. Na stole piętrzyły się teczki. W jednej kronika rodzinna, w innej wycinki z wystaw Strzeleckiego. Jest też teczka o Wolniewiczu.

Gdzie został pochowany?

Strzelecka: — W rodzinnym grobowcu na nieistniejącym już dziś cmentarzu Św. Marcina. Szczątki ojca malarza ekshumowano po 1945 roku. Spoczywa na cmentarzu na poznańskiej Skalce — odpowiada pani Dorota.

Na płycie grobu nie ma imienia Tadeusza. Jednak od rodziny usłyszałam, że malarz jest we wspólnej mogile.

Czy pani ojciec zapamiętał pogrzeb?

Strzelecka: — Prawdopodobnie nie poszli na ten pogrzeb, bo była wojna.

Strach

Wracam na ul. Ratajczaka 25. Wchodzę na klatkę schodową i patrzę przez okno na podwórze. Ściany wysokie. Słońce sięga tylko trzeciego piętra. Po wojnie wypiekano tu chleb. Pani Jadwiga mieszka obok dawnego mieszkania malarza od 1945 r. Wolniewicz, mówi mi, wyskoczył z okna na podwórze.

5 września 1939 roku. Tego dnia dostał powołanie do wojska, to mogła być przyczyna desperackiej decyzji. Z mieszkania pani Jadwigi wychodzę na klatkę, podchodzę do okna. Trzy kroki za mną są drzwi do mieszkania po Tadeuszu Wolniewiczu.

Idę w dół. Coraz zimniej i ciemniej. Na dole, na tablicy pamiątkowej ufundowanej przez Kornela Białobłockiego, czytam: „On jak Ikar szybował pod niebem, a ziemia lot wstrzymała”.

Strzelecka wdycha. Wolniewicz to dla niej postać tragiczna. Odnosi wrażenie, że poznańskie mieszczaństwo było zamknięte. Z jednej strony hołduje tradycjom patriotycznym, z drugiej walczy w wojnie po stronie zaborcy. Rozdarcie. To wszystko powodowało, jak mówi,

że w ludziach był strach. Bali się, tworzyły się podziały.

I w tym wszystkim mały Wolniewicz nieakceptowany przez ojca, związany z matką. Zmarła dwa lata przed nim.

Mocno przeżył jej śmierć, bał się wojny.

Strzelecka: — Wolniewicz nie znalazł wsparcia w rodzinie ani mecenasa dla swojego talentu. I nadal niewiele się w Poznaniu zmieniło.

co wierzy. Każdemu będzie dane to, w

Michał Bułhakow,

Mistrz i Małgorzata

30

31

Cud —
sklep ezoteryczny,
ul. Św. Marcin 26



Anna Solak

Sąsiedzi modlą się, by Grażyna przestała pracować

WRÓŻKA

Między klubem bilardowym a sklepem obuwniczym przy Św. Marcinie jest lokal, w którym sprzedaje się wahadełka i talizmany. I przepowiada przyszłość. Z ulicy zaprasza do niego niewielki szyld z magiczną różdżką.

— Dziecuszko, widzę, że jesteś bardzo starą duszą — mówi mi Grażyna Rybarczyk, niewysoka, smukła blondynka, kiedy spotykamy się po raz pierwszy.

Byłaś kiedyś, mówi, wiedźmą szeptuchą, pomagałaś ludziom. I małym chłopcem, który zginął nagle, utonął w jeziorze... Jest też Egipt, Bizancjum i Austro-Węgry. I Prusy. Musiałaś być kimś ważnym, kimś blisko Bismarcka. Nie samym Bismarckiem, ale bardzo blisko.

By zobaczyć w swojej historii Bismarcka, muszę najpierw podać datę urodzenia. Wróżka rozrysowuje na kartce jakieś diagramy, korzysta z kalkulatora, chce poznać moje liczby. Sięga po karty tarota. Każę rozłożyć talię. Mówi dużo, szybko przeskakuje z wątku na wątek. Po jej monologu mogę zadawać konkretne pytania.

Rybarczyk ma 64 lata, od kilku jest na emeryturze. O tym, że będzie pomagać ludziom, wiedziała od zawsze.

Oczyszcza ze złej energii, odprowadza zmarłych na drugą stronę („Nigdy za pieniądzel”), wróży z kart. Głównie z tarota, „królewskiej drogi”, jak go nazywa. Siedemdziesiąt osiem obrazków podzielonych na małe i duże arkana (od łac. *arcanum* oznaczającego wtajemniczenie), decyduje o ludzkim zdrowiu, pieniądzach, powodzeniu w miłości, życiu i śmierci. Na kartach bogata symbolika, cyfry rzymskie, tajemne znaki. Laikowi trudno się w tym połapać.

— Nieraz minie trochę czasu, nim kogoś do siebie przekonam. Była kiedyś taka kobieta... Usiadła przede mną z rękami na podolku, cała w smutku, skulona, milcząca.

W kartach zobaczyłam mężczyznę, któremu stała się jakaś krzywda, prawdopodobnie zginął. Powiedziałam jej to, a ona w płacz. Dopiero wtedy uwierzyła.

Klientów przyjmuje w sklepie magicznym albo prywatnie w domu. W sklepie ma kantorek tuż za ladą, za ciężką kotarą. Mieści się tylko stolik, dwa krzesła i radio, które gra najnowsze przeboje. Żadnej scenografii — tylko kadzidełka i świece. Nie uznaje sztucznej tajemniczości.

O telewizyjnych wróżbitach i znajomych, którzy do stawiania kart zakładają specjalne stroje, nie ma najlepszego zdania. — Pajace — rzuca krótko. Sama niczym się nie wyróżnia. Nosi dzinsy, sweterek, dobrze ułożone krótkie włosy. „Magiczne” są tylko kolczyki z ametystem, nie zdejmuje ich od kilkunastu lat. Nigdy, nawet do kąpieli. Nie je

mięsa, nie ma prawa jazdy, nie korzysta z internetu ani telewizji, bo „za dużo w niej złych wiadomości”. Pisz listy i dużo czyta. Ulubiona książka? *Mistrz i Małgorzata*. Kiedy przyjmuje w domu, klientów zaprasza do niewielkiego pokoiku z dużą szafą, ławą i tapczanem. Na 48 metrach kwadratowych mieszka ze swoim drugim mężem.

— Nie rozumiem ludzkiej pazerności — mówi. — Dla mnie nawet to mieszkanie jest za duże. Gości już od progu wita pies Kubuś, kundelek, staruszek przygarnięty ze schroniska. We trójkę mieszkają na siódmym piętrze jednego z wieżowców na poznańskich Winiarach.

Poznali się 11 lat temu na kursie silvy, jednej z popularnych metod samokontroli umysłu.

— Od dziecka wiedziałam, że go spotkam i że będzie starszy ode mnie, bo w kartach wyszedł mi Król Mieczy (uśmiecha się).

Od pierwszego męża odeszła. Mówi, że wszystko jej się zawaliło, kiedy przestała kłaść karty.

Żeby się z nią umówić, trzeba dzwonić z wyprzedzeniem. Nigdy nie wiadomo, ilu osobom będzie wróżyć danego dnia. Sąsiedzi wiedzą, czym się zajmuje, sami przychodzą po radę. Tylko jedni — świadkowie Jehowy — nie akceptują tego, co robi. Modlą się, żeby przestała.

Czytania z kart nauczyła ją mama w starym mieszkaniu przy Wronieckiej, gdzie miała okrągły stolik. Tata, tak-sówkarz, był jasnowidzem. Słyszał głosy, miewał przecucia. Może dlatego Grażyna jest uduchowiona. Medytuje i widzi swojego anioła stróża. Jest biały albo spowity tęczą. Bywa, że podczas wróżenia zobaczy śmierć.

Nie mówi o tym, chyba że ktoś dopytuje.

— Kiedy czytam z kart, rozgrzewają mi się ręce, wpadam w trans. Jak ktoś mi przerwie, od razu tracę wątek.

Jej wnuczka też będzie kłaść karty. Ma 24 lata i już widzi duchy. Córka widzi śmierć, siostra leczy dłońmi i odpędza demony. Tych ostatnich Grażyna się boi, ale mówi, że można z nimi wygrać. Kilka lat temu na spotkaniu wróżów dziewczyna, która wróżyła z fasoli, podeszła do niej i od razu odskoczyła jak oparzona. „Koło ciebie jest czarna aura!” — syknęła. Grażyna musiała zwrócić się o pomoc do egzorcysty.

— Bardzo lubię muzykę. W rodzinnym domu ojciec miał skrzypce i gitarę, która sama grała. Kupił ją w komisie. Za pół ceny. Sprzedawca szybko chciał się jej pozbyć. Mówił, że jest nawiedzona. Grała same rosyjskie pieśni. Nie wierzy mi pani? Tak było. Naprawdę.

Cud —
sklep ezoteryczny,
ul. Św. Marcin 26

Profesjonalnym wrózeniem zajęła się dopiero około czterdziestki. Wcześniej pracowała między innymi w Poznańskich Zakładach Zielarskich Herbapol jako bibliotekarka (wyuczony zawód) i księgowa. Dawniej bała się wróżyć sąsiadkom, bo zaraz z pretensjami przychodzili mężowie, że przewraca im w głowach, przepowiada klótnie i zdrady. Zjawiają się u niej różne osoby — cierpiące, samotne, oszukiwane, zdradzane, chore, z myślami samobójczymi. Wrózenie to dla nich namiastka terapii, traktują je jak światełko w tunelu.

— Dzięki wieloletnim obserwacjom wiem, że wiek czy płeć nie mają znaczenia. Przychodzą do mnie i młodzi, i starzy, mężczyźni i kobiety z różnych środowisk, różnych grup społecznych. Miałam nawet księdza, a z Warszawy przyjeżdżał taki jeden polityk, ważny. Niech mnie pani nie pyta kto, i tak nie powiem. Przychodzą zamknięci, spięci, a wychodzą odmienieni.

Kilka lat temu układała karty dla kobiety, która straciła pracę i była bardzo samotna. Znalazła się w życiowym dołku, przeżywała głęboki kryzys. Szybko uzależniła się od wróżb, nie mogła się bez nich obyć. Telefon dzwonił codziennie. Grażyna nie potrafiła jej odmówić.

— Od pewnego momentu wróżyłam jej już za darmo, bo przecież biedaczka zbankrutowałaby. Na szczęście wyszła z tego. Telefon przestał dzwonić.

Może zapomnieć, gdzie położyła klucze, ale nigdy nie zapomina kart. Miała kiedyś chwile wątplenia, czy przypadkiem nie oszukuje ludzi, czy nie jest hochsztaplerką. Bo przychodząc, oczekują, że przestaną cierpieć, będą żyli w zgodzie ze sobą i ze światem, a dzięki magicznym zaklęciom rozwiążą się ich wszystkie problemy.

— To tak nie działa. Karty nie mogą nami manipulować, są jedynie wskazówką. Sami podejmujemy decyzje.

Żegnamy się, dzwoni telefon. — Tak, tak Kasiu, jesteśmy umówione na dziewiątą. Pani mi się przedłużyła, zaraz wyprowadzę pieska i już będę cała dla ciebie...

Jej ukochany tarot narodził się około XIV wieku, sto lat później został wyklęty i uznany przez Kościół za „biblię szatana”. To właśnie wtedy wróżbici znaleźli się w towarzystwie czarownic i heretyków. Sami tarociści twierdzą, że zabiera część duszy, dlatego po śmierci każdego z nich karty należy spalić, by uwolnić duszę wróżącej osoby.

— Wiem, że kiedyś spaliliby i mnie, ale to moja droga, nie potrafię inaczej.

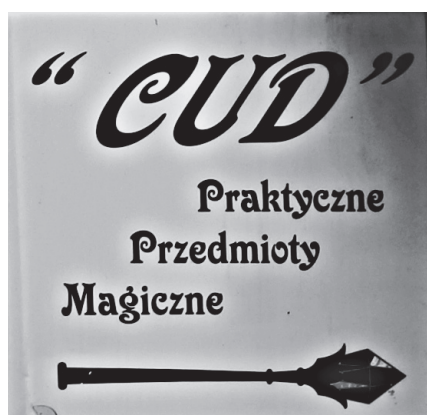
Kiedy Grażyna choruje, śni jej się woda. Zawsze z niej wychodzi, ale wie, że kiedyś przepłynie na drugi brzeg i już się nie obudzi.

— Mam nadzieję, że będę wiedziała, kiedy to nastąpi.

Chcę się dobrze przygotować. Moje obecne wcielenie jest jednym z ostatnich. Mąż i córka już wiedzą, co mają robić.

Epilog

Podczas obu wizyt u wróżki dowiedziałam się m.in., że czeka mnie w życiu długa podróż i że po śmierci moje kości prawdopodobnie nie zostaną pochowane na polskiej ziemi. Mam uważać na „sprawy kobiece”, serce, gardło i zatoki. Urodzę dwoje dzieci i przeżyję wypadek samochodowy. Około sześćdziesiątki zostanę wdową, wyjdę za mąż ponownie. Będę żyć około 70 lat i będę szczęśliwa.



CENTRUM
KULTURY
ZAMEK



ORGANIZATOR
Centrum Kultury ZAMEK
ul. Św. Marcin 80/82
61-809 Poznań

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Dofinansowano
ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA



CzasKultury



epoznan.pl



POZnań*

